

# *Epizody Kresowe*

*Co ocalało z historii przodków?*

**Aldona Kościelak**  
**Zespół Szkół Nr 2**  
**im. Noblistów Polskich**  
**w Choszczynie**

**Praca wykonana**  
**pod kierunkiem pani Adrianny Dokurno**  
**na konkurs historyczny „Epizody Kresowe”,**  
**zorganizowany przez „Fundację Niepodległości” z Lublina.**

**Choszczno 2012**

## Wstęp

Polska w swojej historii przeżywała różne okresy. Była zarówno wielką potęgą, jak i ponosiła ogromne klęski. Wystawiana na próbę dziejów, w ostateczności w 1795 roku zniknęła z map Europy na 123 lata. Kiedy odzyskała niepodległość w 1918 r., nie cieszyła się długo swoim zwycięstwem. A wszystko to za sprawą II wojny światowej, która odmieniła oblicze Europy.



W wyniku II wojny światowej, na podstawie porozumień jałtańskich, zmieniły się granice Polski. Rozpoczęły się przymusowe przesiedlenia ludności ze wschodnich terenów II Rzeczypospolitej odebranych na rzecz Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich po podpisaniu układów w latach 1944 - 1946. Osoby wyjeżdżające do Polski miały prawo zabierać ze sobą odzież, obuwie, bieliznę, pościel, produkty żywnościowe, sprzęty domowe, wiejski inwentarz gospodarczy i inne przedmioty domowego użytku o łącznej wadze do 2 ton na rodzinę, a także bydło i ptactwo domowe. Nie można było zabrać ze sobą m.in. metali szlachetnych, samochodów, mebli, kamieni szlachetnych. Stronę techniczną przesiedlenia brały na siebie rządy odpowiednich republik radzieckich, a koszty transportu miały być rozłożone proporcjonalnie na obie strony układów. Repatrianci byli przesiedlani z Litwy, Białorusi i Ukrainy. Przesiedlenia odbywały się w trudnych warunkach. Po obu stronach nowej granicy zniszczenia wojenne były duże, systemy administracyjne i gospodarcze

dopiero tworzono. Brakowało wszystkiego: od podstawowych artykułów codziennego użytku po kadry fachowców. Ludzie często musieli zostawić swój cały dobytek na wschodzie i zacząć wszystko od nowa na zachodzie, co nie było dla nich łatwe. Wielu z nich nie wiedziało, co ich spotka na miejscu i jak potoczy się ich życie dalej. Lecz gdy już się znaleźli na tzw. Ziemiach Odzyskanych, przestali się martwić o siebie i swoje rodziny, i rozpoczęli nowy rozdział w swoim życiu.

Jedną z większych akcji przesiedleńczych, która wzbudziła wiele kontrowersji, była Akcja „Wisła”. Rozpoczęła się ona w 1947 roku. Wymierzona była w struktury Ukraińskiej Powstańczej Armii i Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, przesiedlano wybrane grupy ludnościowe m.in. Ukraińców, Bojków, Dolinian i Łemków, jak również rodziny mieszane polsko-ukraińskie, głównie z terenów Polski południowo-wschodniej (obszary wokół Rzeszowa i Lublina). Ludność ta zazwyczaj przesiedlana była na Ziemię Odzyskaną. Przyczyną wysiedlenia były głównie walki Ukraińców z Polakami oraz chęć Ukraińców oderwania tego terenu od Polski i utworzenia niepodległego państwa ukraińskiego. Władze polskie twierdziły, że wysiedlenie ludności ukraińskiej ma służyć zwalczeniu ukraińskiej partyzantki. Akcja „Wisła”, przeprowadzana została przez Grupę Operacyjną „Wisła”, dowodzoną przez gen. Stefana Mossora, rozpoczęła się 28 kwietnia 1947 roku o godzinie 4 nad ranem. Przygotowano listy przesiedleńców i zaczęto wysiedlać ludność zamieszkującą Polesie, Roztocze, Pogórze Przemyskie, Bieszczady, Beskid Niski, Beskid Sądecki i tzw. Ruś Szlachtowską. Ludzie mieli dwie godziny na spakowanie się i zabranie ze sobą swojego dobytku, który maksymalnie mógł zajmować dwa wozy konne. Inteligencję, księży grekokatolickich, osoby podejrzane o współpracę z UPA i z organizacjami nacjonalistycznymi kierowano z punktów zbornych do więzień lub Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie, utworzonego w kwietniu 1947. Przesiedleńcy udawali się na stacje załadowcze, z których pociągami docierali do punktów rozdzielczych, a z nich do stacji rozładowania, gdzie czekali kilka dni na przewiezienie do miejsca osiedlenia. Po przybyciu na tereny Ziemi Odzyskanych przesiedleńcy otrzymywali mienie porzucone oraz domy po wysiedlonych na zachód Niemczech i zaczęli swoje życie od nowa.

Powiat choszczeński, na którego terenie znajduje się Choszczno, został zasiedlony repatriantami z Kresów Północnych i Południowych. W niektórych wioskach mieszkają obywatele dawnej Wileńszczyzny, w innych obywatele ziem południowych II Rzeczypospolitej. Znaczącą część naszego powiatu zasiedliła Akcja „Wisła”. To właśnie do nich postanowiłam dotrzeć. Udało mi się porozmawiać z tymi, którzy przeżyli repatriację i znają życie zarówno na Kresach, jak i tu, na zachodzie Polski. Wszyscy wspominają dobrze tamte czasy, choć nie zawsze były one dla nich udane. Rozmawiałam o tym z moją babcią, Janiną Kościelak, wieloletnim dyrektorem naszej szkoły, który obecnie uczy historii i wiedzy o społeczeństwie, panem Stefanem Szemlijem oraz z mieszkańcami Suliszewa, którzy przybyli w te strony ze wsi Medynice: panią Anielą Junak, Stefanią Raniowską i panem Edwardem Junakiem.

Postanowiłam, że praca będzie miała formę bezpośredniego zapisu relacji moich rozmówców. Nie chciałam ingerować w ich wypowiedzi, by nic nie straciły ze swojego autentyzmu. Po cichu liczyłam na to, że opowieści starszych rozmówców zachowają jeszcze elementy dialektu kresowego, lecz, jak się przekonałam, język Kresów powoli odchodzi już w zapomnienie. Bardzo tego żałuję.

***Wspomnienia mojej babci, Janiny Kościelak,  
urodzonej 29.03.1935 r. we wsi Konkolniki,  
zamieszkałej we wsi Barnimie, województwo zachodniopomorskie:***

„Urodziłam się 29 marca 1935 roku, w małej wsi Konkolniki – powiat Rohatyn, województwo Stanisławów, jako drugie dziecko w rodzinie Czeskich, nie licząc mojego zmarłego brata, którego nigdy nie poznałam, gdyż umarł, będąc jeszcze małym dzieckiem na zapalenie płuc. Moi rodzice posiadali gospodarstwo, na którym oboje pracowali. Mieliśmy wiele zwierząt m.in. kury, kaczki, gęsi. Życie na początku wiedliśmy spokojne i szczęśliwe. Pamiętam, że jako dziecko wychodziłam na podwórko i chodziłam na pobliski plac zabaw bawić się z innymi dziećmi w berka czy w chowanego. Co niedzielę całą rodziną chodziliśmy do kościoła na mszę świętą, po której jedliśmy świąteczny obiad i wychodziliśmy na spacer. Dużo czasu spędzałam także z moją starszą siostrą Marysią, od której się wiele nauczyłam. Oprócz niej miałam jeszcze dwie młodsze siostry: Helenę i Stefanię, która urodziła się już gdy byliśmy w Stanisławowie.



***Pierwsza Komunia Święta  
w Stanisławowie***

Każde święta spędzaliśmy zawsze całą rodziną, zachowując wszystkie polskie tradycje. Jediną różnicą w czasie świąt Bożego Narodzenia było przygotowywanie na wieczór wigilijna kutii - potrawy występującej na kresach, którą do dziś dzień robię na wigilię w mojej rodzinie. Pamiętam także, że podczas świąt zawsze mieliśmy dużo pomarańczy, które dawał nam chłopak mojej siostry, ponieważ pracował jako kierowca w hurtowni. Czasami te ilości były tak ogromne, że aż wstyd się przyznać, ale dla zabawy rzucałyśmy się nimi i teraz wiem, że nie było to zbyt mądre, lecz taki już urok dzieci.

W Konkolnikach żyło się dobrze, dopóki nie zaczęła się II wojna światowa. Wieś zamieszkiwali zarówno Polacy, jak i Ukraińcy. Oba narody za sobą nie przepadały, lecz szanowały się wzajemnie. Każdy miał swój kościół i swoje tereny na wiosce, ale gdy wybuchła wojna wszystko się pozmieniało. Ukraińcy poczuli się pewniej i zaczęli terroryzować Polaków. Na początku dochodziły nas głosy, że na pobliskiej wiosce mają miejsce napady i kradzieże oraz pożary domów naszych rodaków. Trochę to zaniepokoiło mieszkańców Konkoliników, ale nikt na to nie reagował. Dopiero, gdy ludzie widzieli to na własne oczy, zaczęli się bać o swoje życie. Niedługo potem takie ataki miały miejsce także na naszej wiosce. Sprawcami ich byli Ukraińcy, nazywani banderowcami, którzy znęcali się nad Polakami. Z początku Polacy próbowali z nimi walczyć, lecz bezskutecznie. Ukraińcy mieli wsparcie Niemców. Nieraz moja matka widziała przez okno jak banderowcy podpalali i zabijali sąsiadów, zawsze wtedy kazała nam chować się pod łóżko i siedzieć cicho. Nie do końca rozumiałam, co się właściwie w tamtym okresie działo, lecz robiłam to, o co mama mnie prosiła. Po kilku takich atakach

rodzice wiedzieli, że nic nas tu dobrego nie spotka i że niedługo przyjdzie na nas kolej, więc wysłali moją siostrę Marysię do miasta, aby znalazła nam jakieś mieszkanie. Wybrała się ona razem z koleżanką do Stanisławowa, gdzie załatwiła lokal, lecz skutki tej podróży były tragiczne. Gdy wróciły do domu, okazało się, że matka koleżanki została zabita przez banderowców. Gdy wracała z pracy, porwali ją i rozłechtali, odcięli jej ręce, piersi, nogi i zostawili je na polu, przykrywając zwłoki liśćmi, a wszystko tylko dlatego, że była Polką. Po tym incydencie moi rodzice wiedzieli, że kolej teraz na nas, więc nie zważając na nic, postanowili, że opuszczamy dom. Poszliśmy do ruskiego organisty, który mieszkał w Konkolinikach, aby zawiózł moją rodzinę do miasta, gdyż tylko on miał konia z bryczką. Organista przyjął nas na noc i schował pod łóżkiem ze względu na swoją żonę, która również była Polką i go do tego namówiła, lecz nie chciał zawieźć do miasta, gdyż bał się, że zabiją go Ukraińcy. Litość i współczucie okazała nam jednak jego żona, która zgodziła się zawieźć moją rodzinę do miasta. W zamian za tę przysługę zostawiliśmy całe gospodarstwo i majątek. Następnego dnia rano pojechaliśmy bryczką do Stanisławowa, gdzie czekało na nas mieszkanie w kamienicy przy rynku. Podróż na szczęście przebiegła bez żadnych problemów, lecz później dowiedzieliśmy się o strasznej rzeczy, która nami wstrząsnęła. W czasie drogi powrotnej do Konkoliników, na żonę organisty napadła zgraja banderowców, którzy powiesili ją na morwie za to, że pomogła uciec mojej rodzinie.

W Stanisławowie mieliśmy wreszcie spokój, gdyż tam nikt nikogo nie prześladował. Oczywiście widać było, że trwa wojna, ponieważ po mieście i ulicach jeździły czołgi, chodzili żołnierze. Niebezpieczeństwo czaiło się wszędzie, ale już nie w takim stopniu jak wcześniej. Nie baliśmy się już tak bardzo. Jak już wspominałam, mieszkaliśmy przy rynku, gdzie dokładnie widzieliśmy, co się dzieje w mieście. Moja mama sprzątała w domach u innych, tata sprzedawał gazety, a Marysia pracowała w przedszkolu. Ja chodziłam do szkoły, a po szkole często na rynek. Sprzedawałam zapalki, gazety i inne drobne rzeczy, które przynosili nam do domu Rosjanie. Czasami przychodziłam do pewnej kobiety, która stała na straganie i handlowała pierogami, pomagać jej. W Stanisławowie ukończyłam cztery klasy szkoły podstawowej i przystąpiłam do sakramentu komunii świętej. Dni mijały nam w ciszy i spokoju. W Stanisławowie urodziła się moja najmłodsza siostra Stefania. Pomagałam mamie się nią opiekować i chodziłam na zakupy do pobliskiego sklepu.

Kiedy zakończyła się wojna miałam dziesięć lat i pamiętam, że zaczęła się repatriacja Polaków. Moją rodzinę repatriowano w lipcu 1946 roku. Nigdy tego nie zapomnę. Upał, gorączka, a my w pociągu ściśnięci, wokół tłum ludzi, jadących nie wiadomo dokąd. My również jechaliśmy w ciemno, bez żadnych rzeczy, papierów, pełni obaw i niepokoju, ale z nadzieją na lepsze życie. Nasz podróż trwała miesiąc, w trakcie niej ludzie wysiadali i wsiadali. Nawiązywały się znajomości, które w moim przypadku z niektórymi osobami trwają do dziś, gdyż nadal mieszkamy na tej samej wiosce już od sześćdziesięciu sześciu lat. Ostatecznie dotarliśmy do Podegrodzia, skąd spod pałacyku na wozie zabrano nas do Barnimia, wioski, w której spędziłam całe swoje życie. Moja rodzina trafiła do poniemieckiego domu, gdzie mieszkaliśmy przez miesiąc z jakąś kobietą i jej dziećmi, bo potem się wyprowadzili. Musieliśmy zacząć wszystko od nowa, ponieważ nie mieliśmy nic. Sąsiedzi pomagali sobie wzajemnie i zaczęto odbudowywać Barnimie, a ja rozpoczęłam nowy rozdział w życiu, który trwa po dziś dzień.”

***Wspomnienia wieloletniego dyrektora naszej szkoły,  
pana Stefana Szemlija,  
urodzonego 17.11.1946 r. (w dokumentach 8.01.1947 r.)  
w Poddębcach,***

***zamieszkałego w Choszczynie, województwo zachodniopomorskie:***



rodzinę repatriowano w lipcu 1947 roku w ramach akcji „W”. Teren Sokalszczyzny miał należeć do Polski - także Poddębce i dopiero w 1952 r. okazało się, że to nie będzie Polska. Moi rodzice nie chcieli wyjeżdżać z miejsca swojego urodzenia, lecz niestety musieli, podobnie jak większość ludzi, gdyż taką decyzję podjęto odgórnie. Nie pomogły nawet zapewnienia wujka, który pracował w Korpusie Ochrony Pogranicza, że nas nie przesiedlą. Wszystko działa się szybko. Oczywiście nie pamiętam tego, bo miałem wtedy kilka miesięcy, ale dowiedziałem się o tej całej akcji później, gdy podrosłem. Wyjazd przebiegał w bardzo nieprzyjemnej atmosferze, ponieważ przed nim zdarzyły się dwie bardzo smutne sytuacje. Najpierw mojego dziadka ze strony ojca zabił koń, a później już na samej stacji kolejowej w Bełżcu, tam gdzie jechały transporty, brat mamy został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa. Potem się okazało, że wsadzono go do obozu w Jaworznie z podejrzeniem o współpracę z partyzantką ukraińską. Później wyszło na jaw, że była to nieprawda,



„Urodziłem się w małej wsi Poddębce, znajdującej się niedaleko Uhnowa i Bełza, późną jesienią 1946 roku. Były to czasy już po II wojnie światowej, kiedy to granice Polski zaczęły ulegać zmianie. Repatriację miejscowej ludności rozpoczęto w 1944 roku po wkroczeniu Rosjan. Początkowo wyjeżdżali głównie Ukraińcy w rejon Brzeżan. Później, czyli w 1945, po zakończeniu II wojny światowej, wyjazdy były też do Polski i na Ukrainę ze względu na zagrożenie partyzantką. Moją

rodzinę repatriowano w lipcu 1947 roku w ramach akcji „W”. Teren Sokalszczyzny miał należeć do Polski - także Poddębce i dopiero w 1952 r. okazało się, że to nie będzie Polska. Moi rodzice nie chcieli wyjeżdżać z miejsca swojego urodzenia, lecz niestety musieli, podobnie jak większość ludzi, gdyż taką decyzję podjęto odgórnie. Nie pomogły nawet zapewnienia wujka, który pracował w Korpusie Ochrony Pogranicza, że nas nie przesiedlą. Wszystko działa się szybko. Oczywiście nie pamiętam tego, bo miałem wtedy kilka miesięcy, ale dowiedziałem się o tej całej akcji później, gdy podrosłem. Wyjazd przebiegał w bardzo nieprzyjemnej atmosferze, ponieważ przed nim zdarzyły się dwie bardzo smutne sytuacje. Najpierw mojego dziadka ze strony ojca zabił koń, a później już na samej stacji kolejowej w Bełżcu, tam gdzie jechały transporty, brat mamy został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa. Potem się okazało, że wsadzono go do obozu w Jaworznie z podejrzeniem o współpracę z partyzantką ukraińską. Później wyszło na jaw, że była to nieprawda, a tragiczne jest to, że wujek ten w 1945 wrócił z przymusowych robót w Niemczech. Zatem cała odpowiedzialność za naszą rodzinę spoczęła na moim ojcu. Zabraliśmy ze sobą dwa konie i dwa wozy dobytku, gdyż ilość koni określała możliwość zabrania dobytku, który można było ze sobą wziąć. Jechaliśmy pociągiem ponad dwa tygodnie. Podczas postoju w Warszawie, pewien warszawiak chciał mnie kupić od moich rodziców, ale oni

na to się nie zgodzili i bardzo się tym faktem oburzyli. Gdy już dotarliśmy na zachód, trzy razy w ciągu roku zmieniliśmy miejsce zamieszkania, bo albo nie było dobrych pomieszczeń gospodarczych dla zwierząt, albo sąsiedzi byli natrętni i niemili. Ostatecznie osiedliliśmy się na kolonii Suliszewo, gdzie jeszcze ciągle mieszka moja matka, ponieważ ojciec już nie żyje. Na początku nie było łatwo, gdyż miejscowa ludność przez ówczesną propagandę była negatywnie nastawiona do tych z Akcji „W”, lecz z czasem przekonała się ona do nas, przez co mogliśmy żyć w spokoju i w zgodzie. Natomiast jeżeli chodzi o okres pobytu mojej rodziny na kresach, to jest mi on znany tylko z opowiadań rodziców i dziadków. Jak już wcześniej wspomniałem, mieszkaliśmy w Poddębcach. Była to wieś polsko-ukraińska. Ojciec matki był gajowym, a babcia opiekowała się dziećmi i dorabiała na weselach jako kucharka. Jeden z braci mamy wyuczył się na nauczyciela, co w tamtych czasach było wielkim osiągnięciem. Rodzice ojca za to posiadali własne małe gospodarstwo. Na wsi znajdował się dwór, w którym pracowało wielu ludzi, ponieważ wśród mieszkańców panowała ogólnie bieda. W Poddębcach była tylko cerkiew, a katolicy chodzili do kościoła w Uhnowie. W Uhnowie mieszkało dużo Żydów, którzy zajmowali się handlem. Również w Poddębcach mieszkał Żyd. Prowadził on na wsi karcznię.

Tradycyjne święta polskie były obchodzone wspólnie przez Polaków i Ukraińców, ponieważ rodziny były często mieszane. Gdy mieszkaliśmy na kresach, w rodzinie mówiono po polsku i ukraińsku, lecz kiedy przyjechalismy do Suliszewa, to stopniowo zanikał język ukraiński. Mówiono nim jeszcze dopóki żyły moje babcie, później już tylko podczas sporów rodziców, gdyż nie chcieli, abyśmy jako dzieci wiedzieli, co mówią. Ja, dzięki mojej babci, trochę nauczyłem się ukraińskiego i znam kilka słów, tak że mógłbym się z kimś innym dogadać. Lata mijały, życie biegło dalej, a u mnie w rodzinie ciągle wspomniano czasy z okresu przebywania tam na wschodzie. Zarówno rodzice, jak i dziadkowie dobrze je wspominali i choć tyle lat już mieszkali w Suliszewie, zawsze myślą byli w Poddębcach. Aktualnie tylko moja mama, bo inni nie żyją. Wszyscy przeżyli tam piękne chwile, a także i ciężkie, ale tak z przyjemnością opowiadali o tamtych czasach, że aż postanowiłem wybrać się na dawne kresy i zobaczyć, jak to tam naprawdę jest. Moi rodzice również odwiedzili znajomych z Poddębiec w Brzeżanach, lecz nigdy nie mogli pojechać do Poddębiec, bo ludziom nie wolno było odwiedzić miejscowości, z której nie miało się zaproszenia. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych cofnięto ten zakaz, ale rodzice byli starsi i nie interesował ich już wyjazd.

Ja wybrałem się w podróż latem samochodem, śladami własnych korzeni razem z żoną i dawnym sąsiadem rodziców z Poddębiec, który nazywany jest przeze mnie wujkiem, a obecnie mieszka w Legnicy. Wzięliśmy go ze sobą, aby pokazał nam lepiej okolice, ponieważ on w trakcie repatriacji miał około dwudziestu lat, to wszystko pamiętał. Gdy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że nic praktycznie się nie zmieniło. Wszystko takie same jak w opowiadaniach. Można stwierdzić, że czas zatrzymał się tam na sześćdziesiąt lat. Domy z dachami ze słomy i piecami węglowymi. Ubikacje na dworze. Studnie do ciągnięcia wody. Jedyną zauważalną zmianą była elektryczność obecna w domach. Wśród



starych budynków wyróżniały się cztery nowe. Tylko dwie osoby zamieszkują tam, z tych, co były w 1947 r. Mieszkańcy bardzo dobrze nas przyjęli. Okazali wspaniałą gościnność. Sześć kobiet w sklepie zrobiło na naszą cześć przyjęcie. Na wsi prawie w ogóle nie było widać mężczyzn. My postanowiliśmy wynająć pomieszczenie od pewnej kobiety, aby przenocować. W dniu, kiedy przyjechaliśmy i w następnym obejrzelśmy całą wieś. Udało się nam to zrobić dosyć szybko, bo wieś rozciągała się wzdłuż jednej drogi, a zabudowa domów była gęsta. W trakcie pobytu odnaleźliśmy mój dom rodzinny. Odwiedziliśmy także cerkiew, która zrobiła na nas ogromne wrażenie, gdyż została odnowiona i wyglądała wspaniale. Następnego dnia raz jeszcze przeszliśmy wieś od domu do domu, zaznaczając na swoim szkicu, kto mieszkał w nich przed wojną i umiejscawiając rodzinę, która tam mieszkała. Później poszliśmy nad rzekę i okazało się, że ta rzeka nie jest w tym miejscu, gdzie była, gdyż Rosjanie zmienili jej koryto, ponieważ często dochodziło do podtopień wsi i zrobiono to, aby tego uniknąć. Tereny nad Nehą ciągle są wypasane przez bydło, jak 60 lat wcześniej. Przed wojną zajmował się tym gromadzki pastuch, a obecnie też ktoś tych krów pilnuje. Po pobycie w Poddębcach postanowiliśmy pojechać dalej. Naszym głównym celem stał się Lwów, ale zdecydowaliśmy się najpierw odwiedzić miejscowości znaczące dla tej okolicy: Uhnów, Beż, Sokal, Krystynopol - aktualnie Czerwonograd. W Uhnowie zobaczyliśmy kościół przy rynku bardzo zrujnowany, lecz rozpoczęto jego odbudowę. Zajmowali się tym Polacy. Obejrzelśmy tam także cerkiew, w której przyjął nas pop i opowiadał o zabytkach oraz o wspaniałym wnętrzu kościoła. Później dotarliśmy do miejscowości Beż. W czasie wojny była to jedna z miejscowości, w której doszło do masowych mordów Żydów. Jest cmentarz, gdzie są macewy, czyli pomniki Żydów, a po drugiej stronie cmentarza, amerykańscy Żydzi wybudowali hotel dla turystów, pragnących odwiedzić te miejsca. Znajduje się tam także tablica upamiętniająca Żydów. Beż wywarł na nas przygnębiające wrażenie. Tym bardziej, że gdy widziałem ten smutny krajobraz, przypomniało mi się jak rodzice mówili, że słychać było krzyki ludzi z Beża aż w Poddębcach. Ogólnie w rozmowie z moim wujkiem odczułem, że zarówno Polacy, jak i Ukraińcy mieli generalnie krytyczne nastawienie do Żydów, ponieważ kiedy zapytałem się, co ciekawego można zobaczyć w Rawie Ruskiej czy Uhnowie, odpowiedział mi, że tam mieszkali Żydzi i nic interesującego nie ma. Na temat stosunków między Polakami a Żydami i Ukraińcami, i w ogóle ówczesnych stosunków ludnościowych dowiedziałem się od mojej babci, która bardzo lubiła o tym opowiadać. Były to lata 60-te. Słuchałem jej z zaciekawieniem, lecz nie przywiązywałem do tego większej wagi. Dopiero, gdy zacząłem głębiej interesować się historią, zrozumiałem, że te opowieści są dla mnie przydatne. Niestety, była ona analfabatką i bardzo żałowała, że nie miała możliwości nauczyć się pisać i czytać. Z Sokala pojechaliśmy do Lwowa przez Żółkiew. W drodze powrotnej ze Lwowa zajechaliśmy do miejscowości Krehów. Krehów uznawany jest za miejsce kultu. Jadąc po drodze, zwiedzaliśmy też kościoły, ale nie odznaczały się niczym szczególnym,



*Stary cmentarz w Poddębcach*

często były w ruinie albo w najlepszym wypadku w remoncie, zaś cerkwie wzbudzały zachwyt i podziw. Przez Rawę Ruską i Hrebenne wróciliśmy po trzech dniach do Polski.

Drugi raz wybrałem się tam jesienią 2009 roku wraz z kuzynem i kolegą. Również samochodem i prawie tym samym szlakiem podróży. Ponownie zostaliśmy serdecznie przyjęci przez miejscową ludność.



Zwiedziliśmy cerkiew w Poddębcach. Pojechaliśmy do Uhnowa, gdzie zauważyliśmy wyraźne zmiany w wyglądzie kościoła katolickiego. Był w odbudowie. Później odwiedziliśmy jeszcze Lwów, a w nim cmentarz Łyczakowski, Wysoki Zamek i inne ciekawe miejsca. Potem pojechaliśmy do Zbaraża, Brzeżan i za dwa dni wróciliśmy do Polski. Myślę, że jeszcze tam wrócę i znajdę coś nowego.”

***Wspomnienia weterana wojennego, pana Edwarda Junaka,  
urodzonego 20.05.1926 r. w Medynicach,  
zamieszkałego w Suliszewie, województwo zachodniopomorskie:***

„Pochodzę z małej miejscowości Medynica, znajdującej się w dawnym województwie lwowskim, a obecnie na terenach dzisiejszej Ukrainy. Tam też się urodziłem 20 maja 1926 roku. Była to miejscowość, którą zamieszkiwali zarówno Polacy, jak i Ukraińcy. Przed wojną sytuacja na wsi panowała normalna. Oba narody się szanowały i nie wchodziły sobie w drogę. Później wszystko się pozmieniało. Jedni drugim robili na złość i napadali na siebie. Ja chodziłem do szkoły w Medynicy, gdzie ukończyłem siedem klas szkoły podstawowej. Po szkole pracowałem na polu u mojego ojca, gdyż moi rodzice mieli własne gospodarstwo. Wszystko robiliśmy ręcznie, bez żadnych sprzętów ułatwiających obróbkę pola, ponieważ nie było nas na nie stać. Pamiętam, że zawsze rano przed szkołą rodzice budzili mnie, abym szedł po konie na pastwisko sześć kilometrów od naszej wioski i przyprowadził je do nas na pole, bo mój ojciec codziennie jeździł do Drohobycza. Młociło się zboże, które następnie mielono w młynie. Potem po szkole, jak już wspomniałem, szedłem na pole pracować, a później pod wieczór zajmowałem się odrabianiem lekcji. I tak mijały dni i lata.


Gdy ukończyłem osiemnaście lat, trwała już wojna i zaczęto tworzyć w Rosji polską armię, która miała ją wspomóc w walce z Niemcami. Mój rocznik wzywano obowiązkowo na pobór do tej armii. Mi również kazano zgłosić się do gminy i stawić się na poborze. Do wojska polskiego przystąpiłem 16 lipca 1944 roku. Najpierw byłem w Chodorowie, ale gdy front się przesunął do Polski, skierowano mnie do szkoły podoficerskiej w Rzeszowie, którą ukończyłem ze stopniem kaprała. Wszędzie jednak chodziliśmy piechotą. Wszystkie te kilometry ciężkiej wędrówki. Spaliśmy pod gołym niebem, aby się zahartować. Później dołączyłem do 6 Brygady Desantowo - Szturmowej im. gen. bryg. S.F.Sosabowskiego. Następnie udałem się do Przemyśla do 14 Pułku Piechoty. Pamiętam, że była to Wigilia 1944 roku. Tam wsiedliśmy do pociągu i ładowaliśmy broń. Jechaliśmy przez Medynicę do Lwowa aż pod Warszawę na front. 16 stycznia 1945 roku wyruszyliśmy nad Wisłę i do obrony Warszawy. Miało wtedy miejsce forsowanie Wisły. Niemcy byli po jednej stronie ulicy, a my po drugiej. Niemcy dostali od Hitlera rozkaz, aby spalić całą Warszawę i wybić wszystkich cywilów. Stolicę tak zrujnowano, że nie można było nawet nią przejść. Niemcy dopalali jeszcze boczne uliczki i budynki, aby nic z nich nie zostało. Zginęło tam około 9 tysięcy cywilów i kilka tysięcy żołnierzy. Z Warszawy szliśmy na niemiecką granicę szlakiem Wału Pomorskiego (Bydgoszcz, Wałcz). Tam zostałem postrzelony podczas bitwy z Niemcami dnia 2 marca 1945 roku w obie nogi. Jedna kula pozostała w mojej nodze, przez co do dzisiaj mam ślad i nogę krótszą o 7 centymetrów. Leżeliśmy tak trochę na polu, gdyż oprócz mnie było 47 innych rannych, aż zabrano nas do szpitala w Wałczu. Od razu wzięto mnie na stół operacyjny i operowano. Po operacji obie nogi miałem w gipsie od pas w dół. W szpitalu leżałem do Bożego Narodzenia 1945 roku. Później do domu zabrała mnie rodzina, ale już nie

do Medynicy, tylko już na dawne ziemie niemieckie, które zostały przyznane Polsce, do Suliszewa.

Na front, niestety, nigdy nie wróciłem, bo nie byłem w pełni sprawny, ale otrzymałem wiele odznaczeń i tytułów wojskowych m.in. Krzyż Virtuti Militari. Jestem także członkiem Klubu Kawalerów Orderu Wojennego Virtuti Militari. Potem zająłem się działalnością na rzecz społeczności lokalnej m.in. byłem sołtysiem Suliszewa. Tamte strony odwiedziłem dwa razy podczas pielgrzymek zorganizowanych przez naszą parafię. Bardzo miło wspominam te wyjazdy.”

*Rozkaz otrzymany przez pana Edwarda Junaka w dniu zakończenia wojny*

**Rozkaz № 88**  
Na dzień zakończenia wojny.



Oficerowie, podoficerowie i żołnierze!

Wojna, rozpoczęta 1 września 1939 r. napaścią wojsk hitlerowskich na naszą Ojczyznę, zakończyła się. Wróg ludzkości, butny faszyzm niemiecki leży zmiażdżony u stóp zwycięskiej demokracji, u stóp bohaterkiej Armii Czerwonej, u stóp armii zachodnich sojuszników, u Waszych stóp, oficerowie, podoficerowie i żołnierze Wojska Polskiego!

W tej radosnej dla całego świata godzinie możemy sobie z dumą powiedzieć, że Wojsko Polskie dobrze przysłużyło się Ojczyźnie i ludzkości.

Przeszliście wspaniałą, jedyną w naszych dziejach, drogę chwale. Szlak Waszego bohaterstwa wzniesliście własną krwią, mogiłami najlepszych, wiernych do ostatka. Nie straciliście okólnych dróg do Polski. W polską ziemię wsiąkła Wasza krew czysta, w ziemię Polski, która z tej krwi powstała, by żyć!

Oficerowie, podoficerowie i żołnierze!

Wasz trud bojowy nie poszedł na marne. Uzyskaliście dla Polski wielkopomne zdobycze — odwróci starych ziem naszych i trwały sojusz ze Związkiem Radzieckim, filar bezpieczeństwa naszego kraju na przyszłość.

Wam dane było nie tylko wyzwolić miliony Waszych braci i sióstr z hitlerowskiej niewoli, ale również otworzyć wolność wielonarodowym rzeszom więźniów obozów hitlerowskich.

Dzisiaj, gdy wojna dobiegła zwycięskiego końca, zadaniem Waszym jest zabezpieczenie na wieki naszych granic, zapewnienie warunków dalszego niezakończonego rozwoju polskiej, opartej na zdobyczych demokracji. Po wygranej wojnie musimy wygrać i zabezpieczyć Ojczyznę godny pokój.

To winniśmy narodowi, to winniśmy ceniom tych wszystkich, którzy padli w walce o Polskę.

Naród i Państwo nie zapomną nigdy Waszych zasług. Zasłużona nagroda spożyła tych, co brali Warszawę, forsowali węł pomorski, zdobywali Kołobrzeg, Gdynię, Gdańsk, forsowali Odrę i Niszę, Szpewę, kanał Hohenzollernów, osłaniali z południa wielką operację na stołecę hitlerowskich Niemiec i zadawali ostatnie ciosy wrogowi pod Berlinem i w Berlinie, pod Dreznem, nad dolną i górną Łabą.

Naród i Państwo nie zapomną żadnej zasługi bojowej, żadnej kropli krwi przelanej o Polskę, na wszystkich frontach świata.

W dzisiejszym uroczystym dniu, dla uczczenia ostatecznego zwycięstwa nad hitleryzmem zakończona wojny

**r o z k a z u j ę :**

1. We wszystkich artyleryjskich jednostkach Wojska Polskiego oddać o godzinie 21-szej siebie honorową 24 wystrzałami.
2. Poległych oficerów, podoficerów i żołnierzy Wojska Polskiego uczcić trzyminutowym milczeniem

Z-ca Naczelnego D-cy W. P.  
do spraw polit. - wych.  
(-) **MARIAN SPYCHALSKI**  
gen. bryg.

Naczelnny Dowódca  
Wojska Polskiego  
(-) **MICHAŁ ŻYMIERSKI**  
Naczelnny Polak

Szef Sztabu Głównego  
Wojska Polskiego  
(-) **WŁADYSŁAW BERCZYC**

**Wspomnienia mieszkanek dawnych Kresów,  
pani Anieli Junak,  
urodzonej 6.06.1921 r. w Medynicach,  
zamieszkałej w Suliszewie, województwo zachodniopomorskie  
i Stefanii Raniowskiej,  
urodzonej 7.08.1934 r. w Medynicach,  
zamieszkałej w Suliszewie, województwo zachodniopomorskie:**

„Obie pochodzimy z tej samej miejscowości, czyli z Medynicy, którą zamieszkiwali Polacy i Ukraińcy. Tam też się urodziłyśmy, tylko że ja trzynaste lat wcześniej niż Stefania, w roku 1921. U nas na wsi żyło się spokojnie do czasu wybuchu II wojny światowej. Oba narody wzajemnie się szanowały i nie wchodziły sobie w drogę. Polacy i Ukraińcy nawet się mieszały i brali śluby polsko-ukraińskie, np. dwie moje siostry wyszły za mąż za Ukraińców. Wszystko było pod ręką: szkoła, sąd, więzienie, browar, młyn, sklepy, a także kościoły: rzymskokatolicki i grekokatolicki. Każdy chodził do swojego kościoła. Obchodził wyznaczone święta i żył sobie w spokoju. Dobre kontakty utrzymywaliśmy jako naród także z Żydami, którzy również tam mieszkali. Oni zazwyczaj byli bogatsi i posiadali sklepy. Oczywiście zdarzali się także i biedni Żydzi, którzy wzajemnie starali się sobie pomagać. Dni mijwały w ciszy i spokoju. Ja trochę pomagałam moim rodzicom na gospodarce, bo mieliśmy dosyć duże gospodarstwo rolne, a do tego mój tata miał swój własny zakład, gdyż był kowalem i prowadził szkółkę dla czeladników. Chodziłyśmy do polsko-ukraińskiej szkoły. Ja ukończyłam 7 klas podstawówki, a Stefania skończyła 4 klasy. Wychodziłyśmy na podwórko bawić się z innymi dziećmi. Bardzo lubiłyśmy bawić się w chowanego. Zawsze ta osoba, której nie zaklepano krzyczała: << pikulo >>. Grałyśmy też w berka, a jak podrosłyśmy trochę, to chodziłyśmy na zabawy wiejskie. Tam często grał dijak, czyli chłopak na harmonii oraz inni na skrzypcach, więc orkiestra i muzyka były dobre.

Pamiętamy także obchodzone tam święta Bożego Narodzenie i Wielkanocy. Na Boże Narodzenie choinki nie było, zamiast niej był snopek siana w kącie postawiony i stał on aż do Nowego Roku. Na stół kładziono siano, a na nie obrus. Nie zawsze znajdowało się na stole 12 potraw, ale podstawową potrawą była kutia. Gospodarz żegnał się nad kutią, odmawiał modlitwę, a później rzucał ją w cztery kąty domu na szczęście. Również na stół dawano czosnek obowiązkowo, gdyż jest on symbolem zdrowia, a także kompot z suszu i opłatek. Po kolacji wyciągało się źdźbło siana spod obrusa, a jego długość oznaczała długość lnu, jaki będzie na lato. Również młode panny brały łyżki i wychodziły na dwór nimi zastukać, z której strony czekał pies, z tamtej strony miał pochodzić jej przyszły mąż. Prezentów pod choinką w Wigilię nie było. Wręczano je natomiast 6 grudnia w mikołajki. Zaś Wielkanoc wyglądała podobnie do tej, którą obchodzimy obecnie. Chodziłyśmy na nocną adorację i na mszę. Do spowiedzi szło się zawsze dwa razy w roku na Wielkanoc i na Boże Narodzenie.

Gdy wybuchła II wojna światowa zaczęły się rozboje, walki i napady. Z jednej strony atakowali Niemcy, a z drugiej Rosjanie i jeszcze pastwili się nad nami Ukraińcy. Na wiosce działała grupa Ukraińców, która napadała na Polaków. Nazywani oni byli banderowcami. Kradli, zabijali, podpalali domy i gospodarstwa, aż strach chodzić. Niemcy i Rosjanie również zabijali Polaków. Wywozili na Sybir albo do obozów koncentracyjnych. Pamiętam, że kiedy Niemcy przyszli do nas pierwszy raz w 1940 roku, to przychodzili po młode dziewczyny w nocy i zabierali je do siebie, gdyż mieli pozwolenie z gminy. Często było też

tak, że Polacy nie przyznawali się do swojego pochodzenia przed Rosjanami czy Niemcami, aby ich nie zabrano. Przychodziło im to dość łatwo, ponieważ mówiliśmy wtedy takim pomieszaniem językiem, ni to polskim, ni ukraińskim, nazywaliśmy go słowiańskim, gdzie obecnie już tak się nie mówi. Kłóciliśmy się też z Ukraińcami, wykorzystując do tego różne przysłówki, np. << Polska była, Polska niech żyje, Polska nie zginęła póki my żyjemy >>, a Ukraińcy śpiewali: << U ni diju ranu dzwony zadzwonyły, rozebrały Polsku na dwie połowyny, kaze jedno połowynu wzili sławne Nimci, drugo połowynu czerwoni Armijci >>. Bardzo znęcano się także nad Żydami. Strasznie to wyglądało. Zabijano ich tylko i wyłącznie za pochodzenie. Nieraz widziałyśmy takie sceny. Tak się tym przejęłyśmy, że aż nie mogłyśmy powstrzymać płaczu. Wojna osiągała coraz większe rozmiary, dlatego Rosjanie zaczęli tworzyć polską armię, która miała ich wspomóc w walce z Niemcami. Zaczął się wtedy pobór do wojska polskich mężczyzn. Mężczyźni z naszych rodzin wyruszyli na front, na wojnę. Pisali listy, abyśmy przyjechali do nich do Polski, gdyż tu nam będzie lepiej.

Wyjechaliśmy w lipcu 1945 roku. Wzięliśmy ze sobą cały swój majątek, który można było załadować do pociągu, tylko nie mogliśmy brać koni. Zawieźli nas do Stargardu, ale ciągle byliśmy w strachu, ponieważ chodziły pogłoski, że tutaj Niemcy mordują, więc mężowie kazali nam wrócić znowu do Medynicy. Nas wiozła armia i cofnęli nas oni do Drawna. Później odtransportowali do Suliszewa, ponieważ było tu już dużo naszych rodaków z tamtych okolic i tak osiadłyśmy się tu na stałe i do dzisiaj mieszkamy. Oczywiście byłyśmy odwiedzić kresy wschodnie. Miałyśmy okazje wybrać się tam z pielgrzymką, którą organizował nasz ksiądz oraz z kołem gospodyń wiejskich na dożynki, a także na prezentacje pięknych wianków. Miło było odwiedzić dawne strony i powspominać dzieciństwo i młodość.”

## ***Zakończenie***

Gdy myślę o tym, czego dowiedziałam się na temat Kresów Wschodnich, stwierdzam, że życie mieszkańców tamtych terenów było niezwykle barwne, ale zarazem niebezpieczne, gdyż przeżyli oni tam zarówno wiele chwil szczęśliwych, jak i wiele chwil strasznych. Ich los przed wojną nie różnił się bardzo od naszego losu. Wszyscy chodzili do szkoły, cieszyli się dzieciństwem, spędzając czas z rówieśnikami, pomagali w domu rodzicom i rodzeństwu. Spędzali święta zgodnie z polską tradycją, którą kontynuowali już po wojnie. Robili te same rzeczy, które robimy także i my, będąc w ich wieku. Nikt z nich wtedy nie myślał, że życie każdego z nich zmieni się diametralnie i będzie w rękach kogoś innego. A jednak tak się stało. Te niebezpieczeństwo, które czało się na Polaków podczas wojny ze strony Niemców, Rosjan, Ukraińców wzbudzało w naszych rodakach ciągły strach i niepewność tego, co przyniesie kolejny dzień. Wielu współczesnych ludzi od razu by się poddało, zdało na ślepy los, oddając się w ręce wroga dobrowolnie. Dzieje się tak dlatego, że ludzie dzisiaj nie są nauczani samodzielności i odpowiedzialności. A wtedy Kresowiaczy byli wystawieni przez los na ciągłe próby. Musieli trzeźwo myśleć i starać się brać swój los we własne ręce, bo inaczej nie daliby rady. Żyli w strachu i niepokoju, ale jednocześnie potrafili stawić czoła napotkanym trudnościom. Ucieczki przed wrogiem, chowanie się po kątach u znajomych, obrona własnej kultury - to wszystko sprawiło, że ludzie stali się twardsi. Również te przymusowe repatriacje nie wiadomo dokąd i po co, nie ułatwiły im życia, wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej je utrudniały. Brano wszystkich z łapanki i wywożono na nieznane dotąd tereny. Nikt nie miał prawa do jakiegokolwiek sprzeciwu. Ofiary pakowano do pociągów pełnych innych „podróżnych”, zazwyczaj z małym bagażem, aby dobytku z Kresów nie zabrać i wywożono w zupełnie obce dla nich miejsca. I co wtedy mógł czuć sobie taki

człowiek? Pozostaje mi tylko to sobie wyobrazić. Strach, niepewność, przerażenie, smutek po utracie całego majątku, żal, że opuszcza swoje rodzinne strony. To na pewno uczucia, które towarzyszyły każdemu człowiekowi w tamtej chwili. A później zamyślenie nad swoim dalszym życiem i własnym, niepewnym losem.

Podziwiam bardzo tych wszystkich ludzi za to, że mimo tak wielu przeciwności losu, potrafili zachować zimną krew i nie dali się stłamsić wrogowi, tylko walczyli o przetrwanie. Po tym, co przeszli, nie załamali się, ale rozpoczęli nowy rozdział w życiu. Ich ogromna determinacja pozwoliła im zapomnieć straszliwe chwile i zacząć wszystko od nowa. Ludzie z tamtego okresu są nie skażeni tą nowoczesnością i pretensjonalnością, przez co bardziej doceniają to, co mają i nie skarżą się na swój los, tylko starają się go zmienić. I to jest bardzo piękne. Powinniśmy brać przykład z osób doświadczonych, które już przeżyły wiele i wiedzą co jest ważne, a co nie. Myślę, że każdemu przydałaby się taka lekcja historii i pokory, aby nabrać do życia pewnego dystansu. Rozmowy z Kresowiakami pozwoliły mi zamyślić się nad naszą skomplikowaną historią i wyciągnąć kilka wniosków dotyczących mojego życia.

Zdaję sobie sprawę, że pokolenie mojej babci już powoli odchodzi. W pamięci pozostało tak naprawdę niezbyt wiele z czasów jej dzieciństwa i młodości. Zachowało się niewiele pamiątek. Cieszę się, że zdołałam ocalić choć drobne fragmenty pamięci o czasach, które ukształtowały życie mojej rodziny. Słuchałam opowieści o okropnościach wojny i przesiedleń, i nie chcę, żeby kiedykolwiek podobna historia się powtórzyła. Z drugiej strony wyczułam w głosie moich rozmówców wielkie wzruszenie, gdy mówili o ukochanych Kresach, a pan dyrektor Szemlij pokazał mi, że poznawanie korzeni to ważny krok w określeniu własnej tożsamości.

**Aldona Kościelak**  
**klasa II b Liceum Ogólnokształcącego**  
**w Zespole Szkół Nr 2 im. Noblistów Polskich**  
**w Choszcznie**  
**województwo zachodniopomorskie**